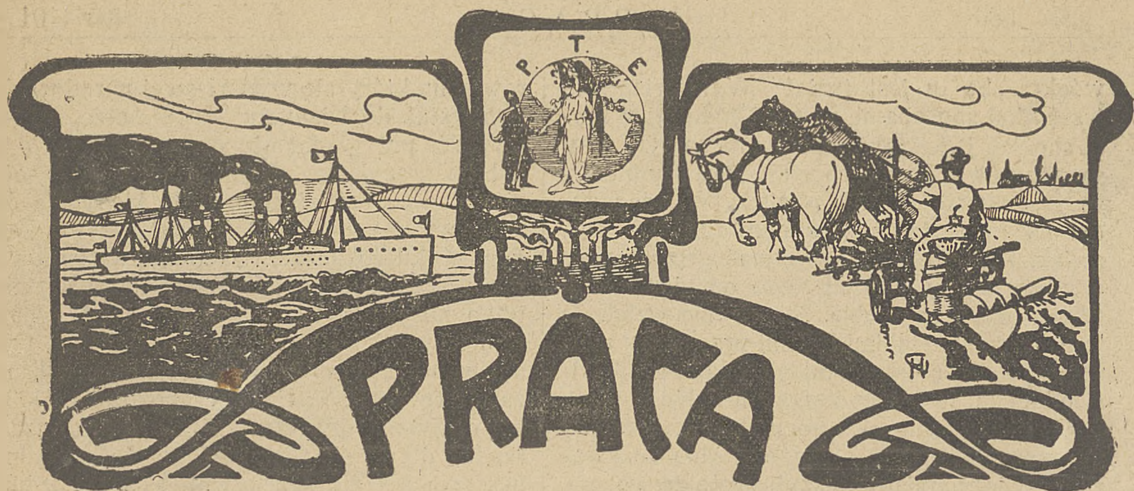


Tygodnik ludowy poświęcony oświacie, wychodźtwu, stosunkom zarobkowym i rozrywce wychodzi w każdą środę nakładem Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego w Krakowie pod redakcyą Józefa Okołowicza.

Przedpłata całoroczna wraz z przesyłką pocztową wynosi: w Galicyi i całej Austryi 2 K., w Niemczech 2.50 Mk., we Francyi, Szwajcaryi i Argentynie 4 fr., w Brazylii 3½ milr., w Danii i Szwecyi 3 K. skandynawskie, w Ameryce półn. 1-dol, w Królestwie i Rosyi 1.50 rub. Przedpłatę przesyłać można w markach pocztow. wszystkich krajów. Adres redakcyi i admin.: „Praca", Kraków, Radziwiłłowska 23

Nr. 101. Kraków, dnia 10. grudnia 1913. Rok II.

Jak to na Morawie.

Pragnąc zarobić kawałek chleba i uciułać jaki taki grosz, pojechałem na robotę do Morawy za pośrednictwem P. T. E. w Krakowie. Podróż odbyłem szczęśliwie i dosyć przyjemnie. Jechało nas wszystkich 18 osób, w czem 12 mężczyzn i 6 kobiet.

Kiedyśmy wysiedli na ostatniej stacyi w Hohenstadt, tam poznałem zaraz dokładnie moich towarzyszy. Pracodawca nie wysłał po nas żadnego wozu ani nikogo, ktoby nas zaprowadził do dworu. Z tego powodu wywiązały się pomiędzy naszymi natychmiast spory i kłótnie. To musi być jakiś parch, złodziej, co o nas tak dba! — unosi się jeden. Co my tu będziemy robili na stacyi, nie wiemy, gdzie jest nasz pan — lamentuje jakaś pijana kobieta. Wszyscy pogłupieli, nie wiedzą, co robić. Jeden wysoki, wąsaty chłop z partyi podchodzi i mówi do naszego „byłego gazdy": Będziemy czekali do wieczora, a choćby i do jutra, dopóki pan nie przyjedzie i nie zabierze nas. No tak, no tak — odpowiada tenże.

Ja z boku śmiałem się serdecznie z ich mowy, lecz nie dziwowałem się, bo byli prawie wszyscy pijani — „comme les Polonais" — jak mówią Francuzi. Jeden tylko przewodniczący był trzeźwy, ale jak się okazało, najgłupszy z nas. Gdy się już naśmiałem do woli z ich kłopotu, przystępuję do przewodniczącego i proszę go, aby się przeszedł ze mną w celu wyszukania dworu i zgłoszenia panu przybycia partyi, bo może, co się często zdarza, pracodawca nie wie, żeśmy przyjechali. No tak, no tak — mówi znów gazda. Zawsze „no tak".

Poszliśmy pomimo sprzeciwu innych. Na drodze tuż koło stacyi spostrzegamy małego chłopca, wypytujemy o drogę, którą nam też pokazał. Rozmowa z chłopcem była trochę ciężka, ponieważ on nie umiał po polsku, a my po czesku, aleśmy się wkońcu domówili. Droga do dworu trwała z 15 minut. Zmokliśmy do nitki, bo deszcz padał gruby. Po przyjściu na podwórze i zapytaniu o pana kazano nam poczekać chwilkę, pan miał przyjść zaraz. Było to jednak żydowskie „zaraz". Czekaliśmy półtorej godziny. Wkońcu przyszedł t. zw. „nadsprawca", wziął od nas list, mnie wysłał z fornalem i wozem po ludzi na stacyę, gazda zaś został dla odebrania deputatu.

Po przyjeździe na stacyę zastałem połowę ludzi w poczekalni, reszta bawiła w sąsiednim szynku. Poszedłem do nich, aby ładowali manatki na wóz, a oni wołają mię na

wódkę, „bo tu jest tania!“ Wymawiam się wszelkimi sposobami, że nie będę pił, bo musi chociaż jeden być trzeźwym na tyle, aby się rozmówił, bo nie chcę się zaraz w pierwszym dniu tak pięknie popisać. W odpowiedzi na to zostałem obsypany gradem wyzwisk, że nie chcę się trzymać gromady, że uważam się za coś lepszego od nich i t. d. Chcieli mię nawet obić. Strach mię wziął, co ja będę robił z takimi ludźmi przez trzy miesiące? Kolegować z nimi nie będę, są silniejsi odemnie, to nieraz mogą mi nabić.

Ale tymczasem ci z poczekalni naładowali już wszystkie rzeczy na wóz i jadą do dworu, co widząc pijacy, ruszyli także za wozem. Po drodze krzyki, wrzaski, śpiewy. Rozwlekli się po drodze idą, jak cygany. Tu stara jakaś baba śmieje się do wszystkich na całe gardło, jak głupia, tam druga kobieta zmizerniała, z podsiniałemi oczami, roztrzepana jak żydówka, prowadzi z sobą trzechletniego synka w brudnej koszuli, podartem ubraniu, ówdzie wspomniany wysoki chłop wpadł pijany do rowu. Morawianie powychodzili z domów i patrzą się na gromadę polską, jak na jakie widowisko. Śmieją się z nas. Ja proszę, kogo mogę, aby się upamiętali i nie wystawiali się na pośmiewisko, ale to nie pomaga. W tej chwili chciałem się zapaść pod ziemię. Chociaż to grzech, przyznam się otwarcie, że wtenczas wstydziłem się swoich ludzi — Polaków. Miałem zamiar pobiegnąć prędzej, wyminąć ich i iść samotny, ale wóz pojechał wartko, stracił nam się z oczu i musiałem prowadzić tę rozśpiewaną kawalkadę aż do dworu.

We dworze nadsprawca, czyli rządca, zrobił przegląd robotników i coś sobie mruknął. Myślałem, że zostaniemy w tym dworze, to znaczy, że tu będziemy pracowali i mieszkali, ale zawiodłem się. Nadrządca rozkazał fornalowi zaprzągnąć parę koni do drabiniastego wozu, włożyliśmy nań swoje rzeczy, znowu gdzieś jedziemy. Jechaliśmy tak polami całą godzinę. Zdala widać było gdzieś między łąkami małą odartą chałupkę. Zajechaliśmy do niej. Istny chlew dla świń: ustęp tuż przy drzwiach wchodowych, chatka zawiera dwie małe izdebki, z których jedna i druga ma tylko po 3 metry szerokości, a 5 m. długości. Do każdej przeznaczono 9 osób. Mężczyźni spali z kobietami, bo gdyby chciano dać osobną izbę dla kobiet, to połowa mężczyzn musiałaby spać na polu. Gazda nasz nie sprzeciwiał się temu, bo bał się, że straci wzgląd u sprawcy.

Na drugi dzień po południu poszliśmy do pracy na drugi folwark, oddalony o jakie dwa kilometry od noclegowiska. Z początku szło nam niezgorzej. Rządca, jakiś stary Morawianin, który się wyparł swej narodowości i przystał do Niemców, aby sobie brzuch wypaść, przyglądał się pracy i chwalił, że dobrze pracujemy. Lepiej nam szła robota, niż ludziom tamtejszym. Ale kiedy się ów rządca z nami ośmielił, począł nam na każdym kroku dokuczać. Pracowali w tym dworze także Węgrzy, ale oni robili wszystko tylko na akord. Rządca więc chciał, ażebyśmy również tak prędko robili, jak oni. Gdy dał nam się już dobrze we znaki, wnieśliśmy zażalenie do P. T. E. w Krakowie i za kilka dni otrzymaliśmy odpowiedź. Od tego czasu rządca o tyle się poprawił, że nie przeklinał nas tyle ani nie przezywał. Poszedł jednak inną stroną. Nie mogąc nam dokuczyć słowami, począł oszukiwać przy wypłacie. Mało kto brał całą wypłatę miesięczną, bo szły kara za karą po dwie korony. I tak niejeden, zamiast otrzymać swe pieniądze za pracę, został jeszcze dłużen. Ja jednak potrafiłem tak się zachować od początku do końca, że nie usłyszałem od rządcy ani słowa nagany, chyba wówczas, gdym szedł do niego upominać się o swoje. Nasz przodownik niczem nie chciał się interesować i nie zastępował nas w niczem.

Ale nie myślcie, że tak wszędzie jest na Morawie. Niedaleko Hohenstadt jest druga wieś, gdzie na małym folwarku Polacy czwarty rok już pracują i dobrze im się powodzi. Morawcy, są to ludzie cisi, trzeźwi i pracowici. Z Polakami się zgadzają. Mówią po czesku. Okolice tamtejsze, o ile poznałem, są piękne, ziemia urodzajna, ludzie dbają o porządek. Wioski morawskie oświetlane są elektryką, dobrze ubite gościńce obsadzone są drzewami owocowemi, przy każdym domu znajduje się sad. Ludzie chodzą porządnie, ubrani czysto. Nigdzie nie zobaczy się tam dzieciaka uwalanego w błocie na drodze wioskowej, jak u nas. Po miastach jest więcej Niemców, aniżeli Czechów.

Nieraz pytałem się jednego lub drugiego, kim on jest, Czechem, czy Niemcem. Morawcem, słyszałem najczęściej w odpowiedzi. A gdy mu wspomniałem coś niecoś z dawnych dziejów morawskich, machnął ręką i nie chciał słuchać. Dobrze mu być tem, czem jest teraz. Nie tęskni za wolnością, jak my, Polacy. Oni się już bardziej zestarzeli w klatce od nas.

Tak przepracowaliśmy w owym dworze w Hohenstadt nasze trzy miesiące, na które byliśmy zgodzeni. Gdy mię czasem los zapędzi jeszcze kiedy na Morawę po raz drugi, pojadę tam chętnie, ale w inne miejsce, bo od takiego, jak ten, dworu — „zachowaj nas, Panie!“

Piotr Szymczyk.

Nieco o kawie.

(Pogadanka naukowa).

Na równi z herbatą rozpowszechnionym, a w niektórych krajach nawet bardziej, niż herbata, ulubionym napojem — jest kawa. Napój ten przyrządza się z palonych i proszkowanych ziarnek kawy, które są nasieniem drzewa kawowego. Drzewo to pochodzi ze środka Afryki, gdzie i dotąd, zwłaszcza w Abisynii i Sudanie rośnie dziko i tworzy całe lasy.

Z Afryki rozszerzyło się teraz po gorących krajach Azyi i Ameryki, jest szczególniej hodowane w Arabii, na wyspach: Jawie, Cejlonie, Sumatrze, w Indyach wschodnich i Brazylii. Udaje się tylko w strefie zwrotnikowej, potrzebuje gorąca, od którego najwięcej dobroć kawy zależy. Lubi klimat suchy, aby tylko ziemia była obficie polewana. W Arabii plantacye kawy urządzają tarasami, t. j. stopniami coraz to wyżej. To ułatwia zwilżanie gruntu, bo przy polewaniu wyższych tarasów woda spada na niższe i wszystkie skrapia z kolei.

Uprawa kawy nie jest trudną, wymaga tylko ciągłego podlewania i obcinania zbyt wysokich pędów, aby krzak mógł się silniej rozrastać.

Drzewko zostawione samo sobie dorasta do 40 stóp wysokości, hodowane zaś, przez obłamanie środkowego pędu, zamienia się w krzak i dochodzi wysokości wzrostu człowieka. Z liści podobne do wiśni, z białych jego wonnych kwiatów wyrastają mięsiste jagody, naprzód zielone, potem szkarłatne, wkońcu ciemno-czerwone, wielkości wiśni.

Te jagody, same przez się niesmaczne i kleiste, zawierają po dwa twarde ziarnka szare, lub żółtawe, znane w handlu pod nazwą kawy. Ziarnka te z zebranych i wysuszonych jagód oddziela się zapomocą odpowiednich młynków, albo kamiennych walców od mięsistej, zeschłej skorupy i cienkiej, pokrywającej je skórki, suszy się i w workach przechowuje i wtedy nabierają zielonkawej barwy. Kawa przez dłuższe przechowywanie zyskuje na wartości. Zbiór odbywa się w zimie, między grudniem, a lutym, bo wtedy owoce dojrzewają.

Jedno drzewko może wydać 4 do 5 funtów kawy, zbiór jednak bywa bardzo niejednakowy, w niektórych latach wydaje ledwie połowę tego, co w innych. Zapotrzebowanie kawy teraz jest ogromne. Obliczają, że na całej kuli ziemskiej otrzymuje się rocznie około 5 milionów cetnarów kawy — i wszystko się zużytkowuje. Za najlepszą uchodzi kawa arabska (Mokka), po niej idzie z wyspy Jawy, niżej cenioną jest kawa brazylijska. Już w 2 lub 3 roku po zasadzeniu, drzewko kawowe zaczyna rodzić owoce, najobfitsze plony daje w 4-tym i 5-tym roku, w 6-tym już rodzić przestaje i tylko w wyjątkowych dobrych warunkach, n. p. na żyznych gruntach Ameryki, przynosi korzyść przez lat kilkanaście.

W Afryce kawa znaną była od niepamiętnych czasów, tylko inaczej ją zupełnie, aniżeli my, przyrządzano. Jedni żuli wprost pieczone ziarnka, nosili je przy sobie i przy spotkaniu wzajemnie się częstowali, jak to dzisiaj czynią murzyni z okolic górnego Nilu. Inni upiekłszy je, tłukli na proszek i mieszali z masłem, a porobiwszy z tego kulki, używali jako posilnego i wzmacniającego pokarmu, zwłaszcza w podróży. U Arabów kawa jest ulubionym napojem, od nich też zamiłowanie kawy przeszło do wszystkich muzułmańskich narodów.

W Europie zaczęto używać kawy przed 300 laty, a rozpowszechniła się właściwie w drugiej połowie XVII. wieku, prawie jednocześnie z herbatą: Początkowo zabraniano picia kawy, uważając ją za szkodliwą. Pierwszą kawiarnię w Europie założyli Turcy około 1600 r. w Konstantynopolu. W sto lat później zapoznali się z nią Francuzi i odtąd kawa szybko weszła w użycie we wszystkich krajach europejskich.

Z rozpowszechnieniem kawy w Europie środkowej związane jest nazwisko Polaka, Kolczyckiego, który założył pierwszą kawiarnię w Wiedniu. Zasłużył on się podczas oblężenia Wiednia przez Turków w r. 1683, przebijając się ze stolicy przez oblężniczy pierścień wojsk tureckich i donosząc królowi polskiemu Janowi III. Sobieskiemu o rozpaczliwym stanie w mieście, które nie mogło już dłużej się utrzymać. Na taką wieść Sobieski przyspieszył atak i o kilkanaście godzin później Wiedeń był oswobodzony. W nagrodę za niezwykłą odwagę i szalone męstwo przedarcia się przez obóz turecki i zaniesienie królowi Sobieskiemu ważnych wiadomości komendant Wiednia przyzwał do siebie Kolczyckiego i zapytał go, jakiej nagrody życzy sobie za swój czyn. Kolczycki niczego innego nie pragnął, tylko pozwolenia na zebranie ziarnek kawy, których ogromne zapasy znaleziono w namiotach po Turkach. Dziwił się nieco wódz austryacki takiemu życzeniu Polaka, ale pozwolenia udzie-

lił. Kolczycki został później bogatym kupcem kawy, a na cześć jego jedna z ulic wiedeńskich nazywa się do dziś dnia „Kolczyckigasse“.

Z początku jednak była kawa bardzo droga, bo Arabowie, będąc prawie jedynymi jej posiadaczami, nakładali dowolne i bardzo wysokie ceny. Ale kiedy Holendrzy, nabywszy kilka płonek, założyli plantacye kawy w swych posiadłościach indyjskich w Azyi, a Francuzi przenieśli kawę do kolonii amerykańskch, kawa się rozpowszechniła i ceny jej stały się przystępniejsze. Ponieważ handel tym produktem przynosił ogromne zyski, liczba plantacyi wzrasta z każdym rokiem i dziś znaną jest i używaną na całym świecie. Obecnie najwięcej kawy produkuje Brazylia w Ameryce i wyspa Jawa w Azyi; Arabia dostarcza stosunkowo małą ilość, ale za to wyborowej kawy.

Dzieje pługa.

Długo to trwało, zanim człowiek pierwotny, koczujący po jaskiniach i nad brzegami wód, żywiący się z polowania, rybołóstwa, a później pasterstwa, przyszedł do przekonania, co dobywać może z roli, osiadłszy stale na jednem miejscu. Warunki bytu zmuszały najdalszych naszych przodków do nieustannych wędrówek. Ani ryb zbyt długo w jakiejś rzece nie można było łowić, ani na dziczyznę w borze polować, stada bydła wkrótce wyjadały trawę, i kiedy z okolicy wyciągnięto już wszystkie korzyści, zagrażał głód, gromada musiała ciągnąć dalej i szukać nowych miejsc. Do dziś dnia jeszcze ludy dzikie i pasterskie czy to w głębi Azyi, czy w Afryce nie mają stałego miejsca pobytu, ale przenoszą się ciągle z miejsca na miejsce.

Do ziemi, do życia osiadłego przywiązał człowieka dopiero pług. Człowiek spostrzegł, że wiele jadalnych roślin, których ziarno, zostanie wrzucone w ziemię, rozradza się i daje pożywny plon, tembardziej, jeżeli ziarno padnie na ziemię dobrą, roślina bywa hodowaną, a rolę się choć trochę uprawi. Życie koczownicze nie dawało ludziom pierwotnym pewnego jutra. Jednego dnia mogli mieć ryb, zwierzyny i paszy dla stada poddostatkiem, o dniach następnych nie wiedzieli nic, mógł spaść na nich głód. Życie koczownicze, to życie z dnia na dzień, życie zaś osadnicze pozwala człowiekowi zabezpieczyć się na najbliższą przyszłość i wskutek tego pociągnęło ono ludzi tam, gdzie były po temu warunki.



Orka słoniem w Indyach.

Rzucił więc człowiek nieustanną wędrówkę za połowem, polowaniem i paszą, osiadł na miejscu, bo ażeby z ziemi mieć korzyść, trzeba krzątać się koło uprawy roli, zasiewu i zbiorów. Ale jak to pierwsi rolnicy uprawiali ziemię? Najpierwotniejszy sposób uprawy roli, to wypalanie miejsca pod zasiew i poruszanie ziemi jakiemkolwiek narzędziem z drzewa. Z czasem wszakże przekonał się człowiek, że ziemia może wielkie przynosić korzyści, byle chodzić jak najstaranniej koło jej uprawy. I oto ucięto gałąź rosochatą w borze, przysposobiono ją trochę i zapuszczono w ziemię, że jeden koniec pociąganego drzewa pruł glebę. Gałąź rosochata to pierwszy pług człowieka. Nie znano jeszcze w tych bardzo odległych czasach przeddziejowych siły pociągowej konia i wołu, ludzie więc sami starczyć sobie musieli za dzisiejsze zwierzęta i siłę parową i ciągnąć swe pługi drewniane.

Niemało jeszcze czasu upłynęło zanim człowiek włóknami przywiązał do drzewa ostry kamień i nim poruszał ziemię, zanim zaprzągnął do pierwotnego pługa oswojone, domowe zwierzęta. Do ciągłego i nieustannego ulepszania gospodarstwa zmuszała człowieka konieczność. Gromady ludzkie się rozmnażały, ten sam więc kawałek roli musiał wyżywiać coraz więcej ludzi, trzeba więc było wyciągnąć

piersi z lewej strony. Sierżant i dwaj żołnierze zeskoczyli z koni, oficer ukląkł przy chłopcu, nieco go podniósł i rozpiął koszulę: kula przeszyła lewe płuco.

— Nie żyje! — zawołał.

— Żyje jeszcze, żyje! — odrzekł sierżant.

— Ach, biedny chłopcze, dzielny chłopcze! — wołał oficer — żyć będziesz... odwagi!

Ale podczas gdy to mówił i chustkę do rany przyciskał, chłopak oczy przewrócił, głowę opuścił, skonał. Oficer zbladł i przez dłużłożył jego głowę ostrożnie na trawie, powstał i jeszcze nań patrzył. Sierżant i dwaj żołnierze również nań patrzyli; — inni, siegą chwilę wpatrywał się w niego, potem dząc na koniach, zwróceni byli ku nieprzyjacielowi.

— Biedny chłopiec! — powtórzył ze smutkiem oficer — biedny, szlachetny, odważny chłopiec!

Następnie zbliżył się do domu, wyjął z okna trójbarwną chorągiew, rozpostarł ją niby całun żałobny nad umarłym, pozostawiając tylko twarz odsłoniętą. Sierżant pozbierał i położył przy boku zmarłego czapkę, buty, laseczkę i nożyk. Jeszcze przez chwilę stali w milczeniu — naraz oficer zwrócił się do sierżanta i rzekł:

— Z lazaretu polnego przyślemy po niego. Trzeba go zabrać; poległ jak żołnierz, żołnierze też go chować będą.

To rzekłszy, przesłał ręką pocałunek zmarłemu i zawołał:

— Na koń!

Wszyscy skoczyli na siodła, oddział się uszykował; ruszyli dalej.

W kilka godzin potem mały bohater odbierał należne mu honory wojskowe. O zachodzie słońca cała linia przednich straży włoskich posuwała się ku nieprzyjacielowi — i po tej samej drodze, którą z rana szedł mały patrol konnicy, podążał teraz po dwóch w szeregu wielki batalion strzelców, który przed paru dniami walecznie krwią oblał wzgórze San Martino. Wieść o bohaterskiej śmierci chłopaka rozeszła się wśród żołnierzy przedtem, nim wyruszyli z obozów. Drużyna mając po jednej stronie strumień, przechodziła w odległości zaledwie kilku kroków od domu. Oficerowie, spostrzegłszy małego nieboszczyka, leżącego pod drzewem i przykrytego trójbarwną chorągwią, uczcili go, broń prezentując. Jeden zaś z nich pochylił się nad brzegiem strumyka, który był cały kwieciem porsły, zerwał dwa kwiaty i rzucił je na chłopca. Wówczas wszyscy strzelcy, w miarę jak przechodzili, rwali kwiaty i rzucali zmarłemu. W kilka minut chłopiec był kwieciem pokryty, a oficerowie i żołnierze, mijając go, ukłon mu słali:

— Żegnaj nam, chłopcze! Masz kwiatek! Dzielny mały lombardczyku! Biedny jasnowłosy malcze! Cześć tobie! Chwała! Żegnaj!

Jakiś stary oficer rzucił mu swój medal za waleczność, — inny, ukląknąwszy, pocałował go w czoło. A kwiaty wciąż się sypały na bose nogi, na pierś skrwawioną, na jasną główkę. On zaś spał w trawie, owinięty w swoją chorągiew, z twarzyczką białą, niby uśmiechniętą, biedny chłopczyna, jakby słyszał to pożegnanie, jakby czuł owe kwiaty, jakby się radował, iż życie oddał za Lombardyę-ojczyznę.

Edmund de Amicis.

Rozmaitości.

Polskie Towarzystwo Emigracyjne i Związek Narodowy Polski. Pamiętacie Czytelnicy, że dyrekcya naszego Towarzystwa wystosowała na Sejm detroicki Związku Narodowego Polskiego we wrześniu obszerny apel z projektem współdziałania obydwu instytucyi w sprawach emigracyi zamorskiej. W chwili obecnej możemy podzielić się z Czytelnikami dobrą wiadomością, że apel naszego Towarzystwa znalazł szeroki posłuch u braci zamorskiej i projekt współdziałania Z. N. P. z P. T. E. w sprawach zamorskiego wychodźtwa przychodzi do skutku. Oto cenzor tej największej organizacyi polskiej p. Antoni Karabasz zajął się goraco naszym projektem i z początkiem października powołał do życia „Związkowe Biuro informacyjne pomocy dla emigrantów“, którego zadaniem jest informowanie instytucyi wychodźczych w Ojczyźnie o stanie na rynku pracy i widokach dla emigrantów w poszczególnych stanach Unii amerykańskiej. Rozesłał on do wszystkich komisarzy związkowych obszerne kwestyonaryusze, czyli zbiór pytań, odnoszących się do ruchu przemysłowego w danej chwili w poszczególnych miejscowościach. Komisarze związkowi wypełniać będą owe kwestyonaryusze przy pomocy informacyi z przydanych im gmin związkowych i każdego miesiąca odsyłać Cenzorowi. który znowu przesyłać będzie zebrany w ten sposób materyał naszemu

Towarzystwu do Krakowa. Towarzystwo nasze będzie tedy w posiadaniu najświeższych wiadomości z za morza, każdego będzie mogło pouczyć jak najdokładniej i dać odpowiednie wskazówki, czy i jakich, w jakich okolicach potrzeba robotników, czy warto jechać w danej chwili do Stanów Zjednoczonych. Pouczajcie więc Czytelnicy wszystkich znajomych i tych, którzy mają zamiar wyjechać za morze, ażeby po poradę, pouczenia i wskazówki zwracali się nie gdzieindziej, jak tylko do Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego w Krakowie, ponieważ nigdzieindziej takich dobrych wiadomości o stanie na amerykańskim rynku pracy nie otrzymają!

Morderstwo kolonisty polskiego w Paranie. Na kolonii parańskiej Bakaszery przed paru tygodniami znaleziono zwłoki Franc. Gajewskiego tuż przy jego domu w rowie, przykryte liśćmi drzewa paprociowego. Trup się już mocno rozkładał i przykra woń jego naprowadziła dziecko jednego z kolonistów do miejsca, w którem leżał. Ojciec dziecka dał znać policyi, która trupa kazała przewieść do trupiarni. Tam lekarze nie mogli doszukać się śladów obrażeń z powodu już bardzo daleko zaszłego rozkładu. Pochowano go niebawem. Dom nieboszczyka był zamknięty. Gdy go otworzono, znaleziono sprzęty domowe i rzeczy w nieporządku tak, jakby w ostatniej chwili rozgrywała się walka jaka rozpaczliwa. Nie zastano w domu należących do niego 2 strzelb i 2 rewolwerów oraz kołdry ciepłej. Franciszek Gajewski był pełen życia, trochę dziwak, nie lubiący towarzystwa i zachowujący przesadną oszczędność. Mieszkał sam już prawie od 10-ciu lat w odosobnieniu, będąc właścicielem sporego kawałka ziemi, pełnego gajów herwy, z której mógł mieć niezły dochód. Pochodził on z Płockiego, mieszkał czas jakiś na Litwie w Grodzieńskiem, w Włocławku miał własną szkołę, a przed wyjazdem do Parany trudnił się udzielaniem lekcyi w domach prywatnych w Warszawie; krótko przed śmiercią obiecywał zrobić testament, w którym miał przekazać cały swój majątek na wybudowanie seminaryum nauczycielskiego w Paranie. Ponieważ nieboszczyk pozostawił ziemię, która daleko więcej jest warta niż 2000 milrejsów, zahipotekowanych na niej, przeto powinni spadek odziedziczyć najbliżsi jego krewni. Inaczej spadek po nieboszczyku zabierze rząd. Dlatego pisma polskie z Kurytyby wzywają, ktoby wiedział o jego krewnych, niechby był łaskaw donieść im o zgonie Franciszka Gajewskiego.

Wolność brazylijska. Pisaliśmy już przed jakimś czasem o nieszczęściu, które spadło na naszego czytelnika, Ignacego Gorczakowskiego, kolonistę w Paranie. Napadł go z sąsiedzkiej nienawiści pewien Portugalczyk, dobrawszy do pomocy niemieckich kolonistów, zburzył mu niemal całkowicie pięknie zabudowane obejście, a nad nim samym pastwił się do nieprzytomności, następnie zaś, przekupiwszy policyę, wtrącił go do więzienia. W tych dniach otrzymaliśmy od Stan. Gorczakowskiego list z opisem owych zajść. Smutne to wiadomości. Rodak nasz własną, ciężką pracą dorobił się pięknego gospodarstwa, patrzał wesołem okiem w przyszłość, gdy nienawistni sąsiedzi zrujnowali go nagle i przywiedli do upadku. Dom mieszkalny ledwie się trzyma, gospodarstwo i rola opuszczone, Gorczakowski sam leczyć się musi po strasznych przejściach. Obecnie wezwał on do pomocy sławnego adwokata z Kurytyby i ma wszelkie dane po temu, że proces wygra, bo ujęli się ponadto za nim ludzie uczciwi z całej Parany, tak rodacy, jak sami Brazylianie. Przeprowadzenie procesu jest jednak kosztowne i Stanisław Gorczakowski zanosi w liście serdeczną prośbę do wszystkich czytelników „Pracy“ w Ojczyźnie i na wychodźtwie o pomoc pieniężną dla przeprowadzenia procesu. Prośbę jego popieramy od siebie i nie wątpimy, że rodacy szczególnie w Brazylii, dopomogą nieszczęśliwemu rodakowi. Datki dla Stan. Gorczakowskiego przyjmuje: Redakcya „Polaka w Brazylii“, Curityba, Parana. Brazil, Caixa Postal H., lub konsulat austryacko-węgierski tamże.

Z KRAJU i ze ŚWIATA



W ostatnią niedzielę odbyła się we Lwowie podniosła uroczystość odsłonięcia pomnika Franciszka Smolki, jednego z największych synów, jakiego wydała Polska porozbiorowa. Żył on w czasach, kiedy Polakom pod zaborem austryackim działo się gorzej, niż u Prusaka lub Moskala. Nie wolno wtedy było publicznie być Polakiem, wskutek czego młodzież (koło 1830 r.) a do niej należał Smolka, tworzyła w Galicyi tajne związki, mające na celu wywalczenie niepodległości Ojczyzny. Spiski wykrywano i Smolka na równi z innymi kilka lat siedział w więzieniu. Skazany był nawet na śmierć,

ale został ułaskawiony. Kiedy nadeszła europejska wiosna ludów w 1848 roku, Smolka stanął na czele ruchu wolnościowego i przewodniczył nawet pierwszemu parlamentowi ludowemu w Austryi, ciskając z mownicy słowa wielkie o równouprawnieniu narodów, o niepodległości Polski. Zrobił on ogromnie wiele tak dla wszystkich ludów w Austryi, jak dla naszego narodu w Galicyi. Do dzieł jego należy także usypanie kopca Unii Lubelskiej we Lwowie.

Śniegi, które spadły niedawno we wschodniej części Ameryki północnej, mają charakter katastrofy. Wiele połączeń kolejowych, telefonicznych i telegraficznych jest zerwanych. Pociągi, zasypane śniegiem, stoją od kilku dni w polu. Przerażające wiadomości o zawiejach śnieżnych nadchodzą również z Clevelandu i Pensylwanii. Wiele miast tonie w ciemnościach z powodu braku węgla dla elektrowni, lub też z powodu przerwania przewodników. Najsilniej ucierpiały okolice około trzech jezior Huronu. Na jeziorach tych zginął jeden okręt wraz z załogą w liczbie 40 ludzi. Woda z taką gwałtownością uderzała o brzegi, że zalała ulice nadbrzeżne przyległych miast i kto nie zdołał uratować się ucieczką, padał pastwą żywiołu. W nurtach znalazło śmierć około 100 osób. W Detroit zginął transportowiec wraz z całą załogą. W okolicach Bufallo na jeziorze Erie zatonął wraz z załogą okręt, służący do oświetlania jeziora.

W Europie jest kraj, w którym niema wcale analfabetów. Krajem tym jest Norwegia. Jest to fakt tem więcej zasługujący na uwagę, że Norwegia posiada zaludnienie bardzo rzadkie, gdyż zaledwie 8 mieszkańców na 1 km^2 i przytem posiada bardzo niewiele dróg i kolei żelaznych. Wsi takich, jak w innych krajach Europy, w Norwegii niema, bo domostwa stoją pojedyńczo i rozrzucone są na znacznych przestrzeniach, tak, że dzieci muszą nieraz całemi godzinami wędrować do szkoły. Na dalekiej północy szkół we właściwem znaczeniu tego słowa zupełnie niema. Tam wędrowni nauczyciele przechodzą od domu do domu, zatrzymując się w każdym z nich po kilka tygodni.

Ostre wystąpienie, na jakie zdobyły się niedawno Stany Zjednoczone w sprawie zaburzeń meksykańskich nie sprowadziło w Meksyku uspokojenia. Jak donoszą pisma amerykańskie, obecny prezydent Meksyku wszelkimi sposobami starał się jak najdłużej zwlekać z odpowiedzią na ultimatum Waszyngtonu. Kiedy przedstawiciel Stanów Zjednoczonych przybył do Meksyku, Huerta przedewszystkiem zniknął na 24 godzin, tak, że nie można się było z nim zupełnie porozumieć. Potem dopiero chcąc wstrzymać akcyę Stanów Zjednoczonych, obiecał uczynić zadość ich życzeniom. Nie myśli jednak wcale obietnicy tej dotrzymać. Na czele wojsk powstańczych, które walczą przeciw Huercie, stoi generał Carranza, który układa się ze Stanami Zjednoczonymi o pomoc i interwencyę. Partyzantka powstańcza nie ustaje, a przed kilku dniami stoczono zaciętą walkę o posiadanie miasta Juarez. W bitwie wzięło udział około dziesięciu tysięcy ludzi. Powstańcy po ośmiu godzinach zaciętej walki wyparli wojska Huerty z miasta. Kiedy walka przybrała charakter niebezpieczny, nakłoniono obywateli zagranicznych do opuszczenia miasta.

Rewolucya w Meksyku wymaga od mieszkańców kraju ogromnych ofiar. Jedna i druga walcząca strona wyciska z nich, co może. Do obu armii pobrano na żołnierzy nie tylko młodych chłopców, ale nawet kobiety, które na równi z mężczyznami wcielono do szeregów. Stany Zjednoczone prawdopodobnie wobec takiego stanu rzeczy będą musiały wkroczyć do Meksyku i uporządkować tam stosunki. Eskadra wojenna, wysłana na wody meksykańskie, została w ostatnich dniach wzmocniona drugą dywizyą okrętów, tak, że rząd waszyngtoński może w obecnej chwili przeciw Meksykowi podjąć zarówno akcyę od granicy lądowej, jak i od morza. Akcya floty i wysadzenie tam na ląd znaczniejszego oddziału wojska byłaby najlepszym krokiem wojennym, to też wzmocnienie floty wojennej wskazuje na to, że Stany Zjednoczone do niego poważnie się przygotowują.

W dzisiejszym numerze podajemy obrazek, przedstawiający rozstrzelanie powstańców przez wojsko meksykańskie.

Odpowiedzi Administracyi.

Mich. Klimczak, Węgry, Fr. Kula, Galicya. Za prenumeratę całoroczną dziękujemy. Kalendarz wyślemy po wyjściu.

A. Potrzeba, Niemcy. M. Ryczek. Galicya. Za zużyte marki dziękujemy.

Jan Woźnica, Francya. Droga powrotna kosztować Was będzie koło 70 franków.

Jan Pokładek, Poznańskie. Odradzamy wyjazdu do Minas Geraes lub do Teksasu. Za Wasze oszczędności możecie śmiało nabyć gospodarstwo w ojczyźnie. W tej sprawie wysyłamy list.

W drukarniach krakowskich zanosi się na bezrobocie i nie wiemy wobec tego, czy będziemy w stanie najbliższe numery wydać w należytym terminie. Zawiadamiając o tem Czytelników, dodajemy, że stosunki w drukarniach wkrótce się pewnie ułożą i jeżeli nastąpi jakakolwiek przerwa, to „Praca“ później wynagrodzi Czytelnikom.

Biuro podróży

Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego w rakowie

ul. Radziwiłłowska 23, w domu własnym

sprzedaje karty okrętowe I. II. III klasy i na międzypokład z rozmaitych portów europejskich do wszystkich portów północnej i południowej **Ameryki,**

Biuro podróży Polskiego Tow. Emigr. w Krakowie ma zastępstwo rozmaitych pierwszorzędnych kompanii okrętowych, pasażerowie więc mogą za pośrednictwem tego Biura wybierać taką drogę do podróży morskiej, która w danej chwili jest rzeczywiście najtańszą lub najdogodniejszą. Z biurem podróży P, T. E. połączona jest sprzedaż biletów na koleje europejskie i amerykańskie i kantor wymiany pieniędzy zagranicznych. Polecajcie wszystkim emigrantom, aby udawali się do biura podróży P. T. E.! Kto się zdecydował na podróż do Ameryki, lub Argentyny, powinien zawczasu zamówić w biurze podróży P. T. E. w Krakowie kartę okrętową, nadsyłając zadatek w kwocie kor. 20 (lub 10 rb.). podając swe nazwisko. wiek dotychczasowy adres, termin odjazdu i cel podróży, a odwrotną pocztą otrzyma poświadczenie na zamówioną kartę okrętową, oraz pouczenie co do podróży.

W Krakowie mogą podróżni korzystać z wygodnie urządzonego schroniska noclegowego Polsk. Tow. Emigr. za drobną opłatą. Na dworcu kolejowym spotyka ich i'odprowadza funkcyonariusz P. T. E

Wydawnictwa P. T. E.

W Polskiem Towarzystwie Emigracyjnem w Krakowie, ul. Radziwiłłowska 23, można nabywać następujące wydawnictwa:

1. **„Mały tłumacz polsko-francuski** dla użytku polskich robotników, zatrudnionych we Francyi i ich pracodawców“. Ułożył J. Okołowicz. Cena (w oprawie i z przesyłką) 80 hal. (Wydanie pierwsze wyczerpane drugie wychodzi z druku).

2. **„Poradnik dla robotników, udających się na obczyznę, Francya, Dania, Szwecya, Czechy“.** Ilustracye i mapki. Napisał J. Okołowicz. Cena z przesyłką 40 hal.

3. **„Wskazówki dla wychodźców, udających się do Ameryki i rozmówki polsko-angielskie“** (z mapką Stanów Zjednoczonych). Ułożył J. Okołowicz. Cena z przesyłką 60 hal. (Wydanie drugie).

5. **„Wskaziwki dla iduczich za more“.** Napisał J. Okołowicz. Cena z przesyłką 30 hal.

6. **„O widokach dla robotników sezonowych w Argentynie“.** Napisał J. Okołowicz. Cena z przesyłką 30 hal. (Wyczerpane).

7. **Kalendarz „Polak“** na rok 1913. Cena 1 K. dla prenumeratorów „Pracy“ 50 hal.

8. **„Kanada, garść wiadomości dla wychodźców“**, napisał J. Okołowicz. Cena z przesyłką 40 hal.

9. **Co to jest P. T. E. i dlaczego je popierać należy?** rozsyła się bezpłatnie.

Również nabywać można rocznik pierwszy „Pracy“ (1912) pięknie oprawny po cenie 2 K.

4. **„Słowniczek polsko-niemiecki** dla użytku robotników, udających się do krajów niemieckich“. Ułożył J. Okołowicz. Cena z przesyłką 50 hal.

Jednajcie „Pracy“ nowych czytelników!

Redaktor odpowiedzialny i wydawca Józef Okołowicz. - Drukiem Katolickiej Spółki Wydawniczej („Prawdy“) w Krakowie.

Polacy wyłamali się z pod ich czujnej opieki. Ale nie dosięgną oni tego, mimo wszelkich starań, ażeby Polacy i w przyszłości nie mieli szukać gościnnego schronienia za granicą pruską, ażeby Holandya pozwoliła sobie dyktować polecenia i rozkazy z Berlina.

List z Petersburga. Od dwóch czytelników naszych w Petersburgu otrzymaliśmy poniższy list: „Szanownej Redakcyi zasyłamy braterskie pozdrowienie i dziękujemy serdecznie za „Pracę", która nam oświetla życie rodaków na całej kuli ziemskiej. Życzymy naszej gazetce, aby jak najsilniej rozniecała w naszym narodzie niepodległego ducha i budziła naród do samodzielnego życia. Po co nasi ludzie mają tułać się między obcymi, a obcy na polskiej ziemi po swojemu gospodarować? Przy liście posyłamy Szanownej Redakcyi 7 rubli 10 kop., z czego 3 na prenumeratę na rok przyszły, jednego rubla 10 kop. na fundusz oświatowy dla wychodźców, dwa na dotkniętych klęską rolną w Galicyi, resztę na „Macierz śląską". And. Kwiatkowski i Andrzej Kloch, czytelnicy „Pracy" w Petersburgu".

Poświadczając odbiór powyższej sumy, dziękujemy rodakom naszym i czytelnikom z Petersburga za pamięć o funduszu oświatowym P. T. E., o głodnej braci w Galicyi i zagrożonych kresach śląskich. Według życzenia wysłaliśmy jednego rubla „Macierzy śląskiej" do Cieszyna, drugie dwa złożyliśmy w c. k. Towarzystwie Rolniczem w Krakowie. Przykład ten niech będzie zachętą dla innych! Redakcya.

Na wyspach Hawajskich. W numerze dzisiajszym podajemy kilka obrazków z wysp Hanajskich, o których w „Pracy" nieraz wspominaliśmy. Leżą one na środku Oceanu Spokojnego na połowie drogi między Ameryką a Azyą. Przed rokiem niespełna zwiedził je dyrektor naszego Towarzystwa p. Józef Okołowicz, odwiedzając tam polskich wychodźców w liczbie około trzystu. Jeden z obrazków przedstawia nam gosposie polskie na wyspach Hawajskich, iny Chinkę z dzieckiem na Hawaii jest 20 tysięcy Chinczyków). Z dwóch innych jeden przedstawia nam chłopca a drugi rybaka hawajskiego. Obydwaj są tubylcami, to znaczy należą do pierwotnej ludności tych wysp, zwanej „Kanakami".



Młody krajowiec (Kanak) w Honolulu, stolicy Hawaii.



Gosposie polskie na wyspach Hawaii.

Spadek po Kazimierzu Pułaskim w Ameryce. Jak wiadomo bohater narodowy, Kazimierz Pułaski, zginął w Ameryce, jako naczelny wódz jazdy amerykańskiej w wojnie o niepodległość. Dwaj jego bracia zginęli także na polu bitwy, nie pozostawiając po sobie,

jednej z sióstr Pułaskiego, rozpoczął starania u rządu amerykańskiego w celu otrzymania spadku po bohaterze. Spadek ten jest olbrzymi i wynosi obecnie podobno około 200 milionów koron, a powstał on z tego, że rząd amerykański, wywdzięczając się Pułaskiemu za jego zasługi, ofiarował mu znaczne obszary ziemi, na których następnie powstało miasto Chicago. Rząd amerykański w miarę rozwoju tego miasta grunta po Pułaskim sprzedawał i wskutek braku prawnych i wylegitymowanych spadkobierców, pieniądze otrzymane za te grunta, wnosił do Banku państwowego. Co kilka lat Bank ten wzywał dawniej w pismach amerykańskich spadkobierców po Pułaskim, by zgłaszali się po odbiór spadku, ale jak dotychczas bezskutecznie. Czy starania obecne odniosą skutek, przewidzieć trudno, bo sprawa z powodu zadawnienia jest bardzo zawikłana. Zdaje się, że drogą prawną spadkobiercy naszego bohatera narodowego nic nie uzyskają. Spawa jednak może się oprzeć o kongres waszyngtoński, który w takim wypadku zapewne powodując się zasługami Pułaskiego, przyznałby jego spadkobiercom przynajmniej jakieś wynagrodzenie.

Przeciw imigracyi w Stanach Zjednoczonych. W mieście Seattle, w stanie Waszyngton obradował zjazd delegatów „Amerykańskiej Federacyi Pracy", która jest największą organizacyą robotniczą w Stanach Zjednoczonych, liczy bowiem półtrzecia miliona członków w swoich szeregach. Zjazd Federacyi oświadczył się stanowczo za wykluczeniem wszystkich przychodźców azyatyckich, oraz za egzaminem wykształceniowym dla imigrantów europejskich. Kto nie będzie umiał czytać i pisać, ten nie zostanie wpuszczonym do Ameryki. Obecnie czynione są starania, ażeby senat i kongres waszyngtoński uchwaliły odnośne prawo.

Nowa polska szkoła wyższa w Ameryce. Do wyższych szkół polskich w Stanach Zjednoczonych przybywa obecnie kolegium polskie w mieście Schenectady, stanie Nowy Jork. Założycielem nowego kolegium jest proboszcz parafii św. Wojciecha w Schenectady, ks. Gogolewski. Kamień węgielny pod budynek szkolny położony został uroczyście dnia 19 października. Budowa ma potrwać 120 dni, poczem szkoła w nowym budynku będzie natychmiast otwarta. Koszta utrzymywania szkoły bierze na siebie parafia św. Wojciecha. W obrębie budynku nowej szkoły nie będzie wolno rozmawiać tak uczącym się jak i nauczycielom po angielsku.

Polskie parafie i kościoły w Ameryce. Polacy w Ameryce założyli i utrzymują około 700 parafii. Najmniejsze liczą około 150 rodzin a są też w większych miastach, jak Chicago, Buffalo i Detroit potężne parafie, do których należy po kilkanaście tysięcy dusz. Te parafie mają śliczne kościoły. Majątek wszystkich parafii polskich w Stanach Zjednoczonych szacują na 200 milionów dolarów. Na utrzymanie 900 księży, 700 kościołów i plebanii oraz 600 szkół i kilku tysięcy nauczycielek (zakonnic), emigranci polscy wydają rocznie kilkanaście milionów dolarów. Wielka szkoda, że z wyjątkiem jednej jedynej w parafii Detroit wszystkie parafie są zapisane albo na biskupów albo też na dyecezye. Wskutek tego z chwilą wynarodowienia się parafian, majątki te przepadną na zawsze. Powstał wobec tego między Polakami w Ameryce ruch, aby wyjednać w Rzymie osobnych biskupów - ordynaryuszów dla Polaków, parafie zaś miałyby być właścicielkami majątków parafialnych, a biskupi mieliby mieć nad niemi nadzór stosownie do przepisów prawa kanonicznego. Przeciwni są temu biskupi amerykańscy, dlatego niewiadomo, czy Polacy uzyskają cokolwiek. Akcya rodaków naszych w Ameryce jest wszakże uznania godna.

Śnieżyce w Ameryce. W mieście Denwer i w całym stanie Kolorado, jak donoszą telegramy ze Stanów Zjednoczonych, szalała temi dniami olbrzymia śnieżyca. Bez przerwy padał śnieg przez 36 godzin. Miejscami śnieg jest wysokości 2 metrów, komunikacya została przerwana. Od 24 godzin nie kursują pociągi, wiele z nich utknęło w śniegu. Grozi klęska głodowa.



Sprawa sejmowej reformy wyborczej Galicyi utyka i żółwim krokiem zaledwie postępuje naprzód. Radzi nad nią specyalna komisya wybrana z łona sejmu, ale jak brzmią ostatnie wiadomości, rokowania się rozbijają z powodu nieprzejednanego stanowiska Rusinów, którzy od swych żądań odstąpić nie chcą za żadną cenę. Ponieważ chodzi im jednak równocześnie o przeprowadzenie reformy wyborów, dlatego chwycili się kilka dni temu w parlamencie wiedeńskim ostrej obstrukcyi, ażeby wywrzeć na rząd odpowiedni nacisk z swej strony.

Okres przedświąteczny zapowiada się bardzo gorąco w wewnętrznej polityce austryackiej. Ustąpić ma cały gabinet, czyli